

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 16 września 1916 roku

№ 38

Władysław Weryho

Kartka z dziejów filozofii w Polsce.

Po strzelistych rzutach myśli polskiej w pierwszej połowie wieku zeszłego, nastąpiła od 7-go dziesięciolecia cisza. Jeszcze odzywały się tu i owdzie odgłosy heglizmu, który opanował był cały świat nauki, jeszcze dźwięczały struny spekulacji teologicznej, przybierającej maskę i nazwę filozofii, ale coraz bardziej zalewała dziedzinę czystej myśli fala pozytywistycznych założeń i uprzedzeń badawczych, coraz bardziej filozofię upośledzano, wyśmiewano, a co najgorsza, zapominano.

W episyerskim żywocie, jaki pędzić zaczęły dorabiające się nauki szczegółowe, zbudzić się w końcu musiał ruch głębszy. Oto już w Europie uświadomiono sobie, że nie cały skarbiec myśli, złożony dopiero wczoraj do podziemi, poznano i zgłębiono, że w formie wczorajszej tkwi, być może, treść trwalsza, która, w szaty dzisiejsze ubrana, nie będzie razila, zdumiewała, śmieszyła. I poczęto wydobywać jednego po drugim myślicieli, na zapomnienie już skazanych. Naprzód poznać a potem krytykować! A gdy poznawano, jakże się oprzeć czarowi całokształtu, jakże się nie uwieźć linią konstrukcyjną i nie usiłować prowadzić jej dalej? Na razie więc historycznie, dla zaspokojenia ciekawości obiektywnej, dla samego przysporzenia wiedzy pozytywnej. Nieco później już konstrukcyjnie, style przejmując. A wreszcie nowe wytryski myśli twórczej, coraz bardziej samodzielnej.

To obraz wysiłków filozoficznych czasu popozytywistycznego w Europie. Nie mógł on być innym i u nas. Wnęśliwość historyczno-filozo-

liczna, zbadanie pozytywnego inwentarza wiedzy powszechnej przy pomocy myśli analitycznej, sięgającej do podstaw i źródeł — to etap pierwszy. Własne próby pojęcia dalej po zdobyczach już uzyskanych, własnym czy cudzym trudem — to etap drugi. Wreszcie stworzenie atmosfery i nastroju, gdzie każdy popęd i wysiłek troskliwie jest pielęgnowany, aby nie uwiadł przedwcześnie (jak to u nas bywa zbyt często) — to etap trzeci.

Takie są etapy naszej pracy filozoficznej doby ostatniej. A oznaczają równocześnie etapy życia i działalności zmarłego przed paru tygodniami Władysława Weryho. Jego to bowiem cześć i zasługa, że skupienie, pogłębienie i pchnięcie dalej naszych aspiracji twórczych w dziedzinie filozofii pojął jako osobiste zadanie i obowiązek, a co ważniejsze, że tę, zdawałoby się, pracę pokoleń sam dźwignął i sam jej dokonał.

Gdy przed 20 laty wrócił po studiach do kraju ze świeżym dyplomem *philosophiae doctoris*, co to za granicą zgłębiał przesłanki filozoficzne teorii społecznych, co to wywodził, że skrajnie na wygląd pozytywistyczna, rzeczowa, ba, materialistyczna doktryna dziejowa Karola Marxa od skrajnie idealistycznej, dedukcyjnej i dyalektycznej filozofii Hegla bierze początek, — zamierzył ten młody, wątły doktorek pismo wydawać — filozoficzne. Wzruszano ramionami. Na swe wątłe barki brać ciężar wydawania pisma filozoficznego — w Polsce? Efemerydy chyba? Swoją drogą, poparcia nie odmówiono: zbyt zarażał swym zapa-

łem i pewnością siebie. I dokonał: nietylko założył, ale prowadził i utrzymywał kwartalnik przez lat nieledwie dwadzieścia, dopóki śmierć nie przecięła pasma ciężkiego żywota. Wyrzekł się ambicji własnych w nauce, wyrzekł się tak zrozumiałego dążenia do względnych choćby wygod w życiu, wytrwać posadę mizerną, aby tylko wytrwać, i z własnej nieraz krwawicy materialny byt piśma umiłowanego podtrzymać. Rozprężnięte siły naukowe polskie skupił i do pracy w języku ojczystym zmusił.

W dziesięciu pierwszych rocznikach „Przeglądu Filozoficznego” (1897—1907) umieściło swe prace 152 autorów, z których blisko setka — kilka i wielokrotnie. Dla nadania pewnej ciągłości pracom naszych uczonych „Przegląd Filozoficzny” wydawał zeszyty specjalnie poświęcone jednemu zagadnieniu, jak „Co to jest filozofia”, „Energietyka”, „Herbert Spencer”, „Emanuel Kant”, Ogłoszony był też przez czasopismo szereg konkursów na wybrane tematy („O metodzie w etyce”, „O przyczynowości”, „Wyjaśnienie i opis”, „Przyczynowość a stosunek funkcjonalny”).

Ale niedość skupić i do pracy ciągać: trzeba budzić i wywoływać, pouczać i zachęcać. I oto dr. Weryho wydaje szereg książek i broszur, publikacji zbiorowych, w których wskazuje na to, co się dzieje w filozofii w innych krajach, jakie są tendencje i kierunki, jakie panują prądy i walki. Tak wychodzą przy „Przeglądzie”: „Polska bibliografia filozoficzna”, przekłady mniejszych, a potem i większych utworów filozoficznych (Schopenhauer, Guyau, Simmel, Wundt, Ribot), całe cykle monografii p. n. „Klasyki filozofii”, „Filozofia nowokrytyczna”, „Filozofia neoscholastyczna”, „Filozofia pra-

ktyczna", a wreszcie szereg dzieł oryginalnych, któreby może inaczej nigdy światła dziennego nie oglądały.

Z niezwykłą przedmiotowością i tolerancją uwzględni Weryho najbardziej zwalczające się teorie, jak w piśmie swoim daje głos wszystkim uczonym szczerze pracującym, bez względu na ich wyznanie filozoficzne. Gdy w pracy tej, czasem nie pozbawionej nieuniknionych omyłek, spotykał się z publicznie czynionymi zarzutami, objawiał niezmiernie zadowolenie. „Bardzo dobrze, że pan napisał, widać, że pana obchodzi; inni zrywają byle czem, komplementem, jak gdyby o to chodziło. Mógł pan nawet ostrzej, możeby jeszcze kto się zainteresował”.

A więc dał ujście. Każdy, kto umiał, kto chciał, mógł znaleźć własny kąs, nie tulać się po obcych miesięcznikach, dla których wszystko było zbyt „specyalne”. A dalej, uczył, pociągał, zachęcał, pomagał. Już coraz mniej było uciekinierów; uciekinierów ze swojej nauki i z mowy własnej.

Ale i z kraju i miasta ojczystego. Bo w tym celu zbudował z trudem niezmiernym warsztaty pracy — jeden po drugim: Towarzystwo Psychologiczne, dokąd ściągaly siły z dziedzin pokrewnych, aby choć pośrednio zbliżyć się, zaznajomić, ośwoić z wykwitającą coraz pyśniej na Zachodzie nauką; Instytut

Psychologiczny z pracownią, gdzie już siły fachowe nad badaniami; własnymi ślezcąc mogli i wydawać wyniki pracy w gruboformatowych rocznikach; Instytut Filozoficzny, ostatnie dziecie i przedmiot troskliwości Weryhy, zaprzęgający rozbieżnych pracowników do wysilków wspólnych w atmosferze właściwej. Poza tem żadną inicjatywa naukowa w dziedzinie filozofii lub psychologii nie obezšla się bez czynnego udziału Weryhy: przy jego pomocy założono Towarzystwo Filozoficzne we Lwowie, Towarzystwo badań nad dziećmi w Warszawie, Komisję do badań dziejów filozofii w Polsce przy Akademii Umiejętności w Krakowie, miesięcznik „Ruch Filozoficzny” we Lwowie...

I oto ziściło się dążenie, dokonał się czyn, przed laty zamierzony. Stała polska nauka filozoficzna na własnych nogach, przy własnych warsztatach pracy, i już tylko owoców wyczekiwać można i należy. Ale nigdy o owoce dla siebie nie dbał założyciel i organizator ruchu, i kiedy swego celu dopiął, ten wąty i chorowity człowiek o stalowej energii i woli, o gołębiem sercu, wyjątkowej prostocie i skromności — odszedł od nas na wieki. Odszedł, zostawiając testament: macie teraz wszystko, od was zależy, czy nie pracowałem napróżno.

A. Zieleńczyk.

HAJOTA.

Nowela.

PASEMKO.

3

Doktor słuchał nie przerywając, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Zerwał machinalnie liliową gałązkę wrzosa i zniósł ją w swych cienkich, długich palcach.

Kobieta natomiast nie spuszczała z niego oczu. Od lat całych była tak samotną i tak ludzką obojętnością przytłoczoną, że ten człowiek, zjawiający się, jak niespodziane echo szczęśliwej młodości i tak widocznie losiem jej zainteresowany, stawał jej się z każdą chwilą bliższym.

Nie mogła nie spostrzedz, że go jej opowiadanie wzruszyło i ogromna wdzięczność zalała jej spragnioną odrobiny życzliwego ciepła duszę. To też, przechylając się zlekka ku niemu, prawie serdecznie mówiła:

— Widzi pan, to już nie legitymacya, to spowiedź. Tyle panu o sobie powiedziałem, mam może prawo zapytać, czemu pan jednak porzucił Warszawę, gdzie pan miał

szersze i odpowiedniejsze pole działalności, niż tutaj?

Teraz twarz doktora z posępnej stała się ponurą. Czające się na dnie jego źrenic cierpienie wypełzło mu bolesnym skurczem brwi na białe czoło.

— Panj nie słyszała? To był przecież bardzo głośny proces.

— Jakj proces? Mieszkaliśmy przeważnie za granicą... Od sześciu lat dopiero wróciłam na stałe do kraju. Nic nie wiem.

— A to miało miejsce przed dziesięciu laty. Ja, pani, siedziałem na ławie oskarżonych.

Aż zdrygnęła się cała.

— Co? To być nie może!

— O! nie za kradzież, ani oszustwo — zaśmiał się gorzko. — Nie mniej siedziałem. Robiłem ogromnie trudną i ryzykowną operację, która powiodła się jaknajlepiej. Ale pa-

cyentką moja, zamożna żydówka, handlująca rybami w hallach, umarła wskutek gangreny, spowodowanej pozostawieniem pincety w ranie. Honoru pani ręczę, że nie było w tem mojej najmniejszej winy, tylko niepojęte roztargnienie, jeżeli nie zła wola mego asystenta. Do dzisiaj nie mogę rozwikłać tej zagadki. Rodzina zmarłej żydówki wyzyskała tę fatalną okoliczność... Kryminalnie zostałem uniewinniony, ale akcyę cywilną musiałem zapłacić, a te piekielne goziny, spędzone na hańbiącej ławie, jak pod pręgierzem ludzkiej ciekawości, złamały mnie moralnie na długo. Zawiść koleżeńska, bo gdzież jej niema, umiała też odpowiednio usposobić opinię. Karyera moja, jako chirurga, była zwichnięta... Tak mi się przynajmniej w pierwszych momentach prostracyi duchowej zdawało. A że w tym samym mniej-więcej czasie spotkała mnie druga katastrofa, czysto prywatnej natury, więc wszystko to razem wzięte obrzydziło mj Warszawę. Postanowiłem zagrzebać się w jakimś kącie, gdzie nic nie przypominałoby mi przeszłości. Pożegnałem marzenia o sławie, zdobyczach naukowych, zaszczytach, szczęściu, bogactwie; pozostała mi tylko jedna chęć: być użytecznym... i czuję, że nim jestem, i że to jest bodaj ze wszystkiego najwięcej warte!

Kobieta, słuchająca go z przejęciem, złożyła ręce.

— Och! jak ja pana rozumiem! — zawołała — jak ja pana rozumiem! Wie pan, że dziś, gdy już wszystkie moje łzy wypłakałam, a na wszystkich moich ranach położyła się kojąca dłoń czasu, największą udręką, większą od troski o niepewne jutro, większą nawet od osamotnienia, jest mi poczucie mojej zupełnej bezużyteczności. Jabyśmy tak chciała zapomnieć o sobie, a żyję tylko dla siebie. Pracuję, męczę się, zabiegam jedynie dla własnego ja, dla wykołatania sobie tej marnej, codziennej egzystencji... To okropne!

— Kto nie jest ciężarem drugim, już tem samym staje się użytecznym — zauważył doktor.

— Zapewne — potwierdziła bez przekonania — ale taka bierna użyteczność nie wystarcza mojej naturze. Zresztą, znam kobiety tak samo zmuszone pracować na kawałek chleba, a przecież one coś jeszcze po za tem robią... działają — służą społeczeństwu... Ja nie potrafię. Ta codzienna walka o byt tak mnie wyczerpuje, że po za nią na nic więcej zdobyć się nie mogę!... Nie mam sił... zdrowia... A to mnie tak boli, dreczy, zawstydzają!...

Doktor patrzył na mówiącą.

Słońce zsunęło się już za leśną ramę. Ukośne jego promienie, przebijając srebrem podbity baldachim brzozy, zapalały opalowe iskierekę w siwych, puszystych włosach kobiety i różowiły jej delikatną, zmęczoną cerę.

W tem oświetleniu, z tą aureolą tęczową dokoła drobnej twarzy, z oczyma, których zblakły szafir pościemniał w tej chwili, wydawała się prawie piękna.

— Tak—wymówił doktor zwolna, jakby sam do siebie. — Tak... Użytecznością, do której natura najlepiej usposobiła panią, było... dawać szczęście. Pani jest stworzoną na idealną towarzyszkę mężczyzny i na nieocenioną, wierną pomocnicę w jego pracy i jego dążeniach.

— Być może — odpowiedziała z prostotą — ale, niestety, zadanie moje już skończone, a życie może być jeszcze długie. Mam czterdzieści pięć lat.

Nic nie rzekł na to; ona zaś, jakby idąc za biegiem myśli, uwagą jego wywołanej, zapytała z pewną nieśmiałością:

— Pan — sam tu mieszka?

— Tak. Pani chciała zapytać, czy mam żonę? Miałem. Widzi pani, ideałami wiosny życia mężczyzna żyć nie może, zwłaszcza gdy ideał zniknie mu z oczu. Więc i ja kochałem w lecie dni moich; kochałem, jak szaleniec, kobietę, będącą antytezą typu... no, mojego typu. Tak bywa czasem. I ożeniłem się z nią. Było to w epoce, kiedy gwiazda mojej kariery świeciła najjaśniej, kiedy, po światowemu mówiąc, przedstawiałem doskonałą partycję.

— I owdowiał pan! — rzekła ze współczuciem, nie zwróciwszy uwagi na jego ostatnie słowa.

Zaśmiał się znowu z bardziej jeszcze piękną goryczą.

— Nie, pani.—Jestem rozwodnikiem. Wydałem moją żonę po raz drugi za mąż za mego serdecznego przyjaciela, który ją pocieszał, gdy na ławie zbrodniarzy siedziałem. Bardzo bogaty człowiek... Mieliśmy jedną córeczkę, ale ta nie żyje, co dziś, zważywszy wszystko, poczytuję za prawdziwe zrzędzenie Opatrzności. Chociaż w swoim czasie, kiedy umarła...

Głos mu się załamał.

— Ogromnie kochałem to dziecko — dokończył ciszej.

Zapanowało długie milczenie.

Doktor wsparł głowę na rękę i zapatrzył się w ziemię.

Ona, dziwnie tem, co usłyszała, przejęta, nie śmiała przerwać jego bolesnej zadumy. Poprzednio czuła dla niego wdzięczność za okazaną jej życzliwość; teraz, gdy dowiedzia-

ła się, że był nieszczęśliwym, całe jej nawskroś kobiecie serce kłoniło się ku niemu.

Wreszcie doktor podniósł oczy i spojrzenia ich spotkały się. Czoło jego było znów wypogodzone.

— Czy wie pani—rzekł nagle — że ja do pani ongi pisałem wiersze! Jedyne wiersze w moim życiu! Cóż to musiała być za nędza literacka! Ale w owej dobie były one potrzebą mojej młodzieńczej duszy. Och!... wiosna!... wiosna życia!...

— O! tak! wiosna! — powtórzyła ze smętnem rozmarzeniem kobieta.

Doktor ręką na otaczający ich, w różowości zachodniej zorzy skąpany krajobraz wskazał.

— Spójrz pani i przyznaj, że i jesień może być piękna!

Spojrzała i uśmiechnęła się.

— O! nawet babie lato buja w powietrzu! — zawołała.

W tej samej chwili, długie, mleczone, niby ze śniegu wyprzedzone pasemko uczepiło się jednym końcem jej zwieszanej ręki, a drugim, migocąc tęczowo, do ramienia doktora przyginęło.

Zauważył to.

— Widzi pani, — rzekł ze szczególnym uśmiechem — to pasemko babiego lata połączyło nas.

Uczyniła mimowolne poruszenie, lecz on swe długie, giętkie palce zlekka na jej rękę położył.

— Niechże go pani nie zrywa — rzekł z przyciskiem.

Drgnęła pod tem delikatnem, męskiem dotknięciem. Nie wzbudziło w niej żadnego pożaru krwi, bo i samo nie było upalne, ale w całym jej jestestwie rozlało cichą, słodką błogość.

— Samo się i tak zerwie — odparła z uśmiechem. — Już późno. Czas mi wracać do domu.

— Odprowadzę panią.

Pomógł jej wstać, odebrał pled i książkę i poszli razem, ramię przy ramieniu, wciąż z ożywieniem rozmawiając.

On opowiadał jej teraz o swoim wymarzonem uzdrowisku, dla którego dziwnym trafem, zdawna na tej właśnie górze, sośniną porosłej, miejsce był sobie upatrzył.

Gdy, jak nie wątpił, rzecz przyjdzie do skutku, położy kamień węgielny przyszłego gmachu tam, pod tą brzożką, gdzie ją spotkał.

Ona słuchała, w niepojęty dla niej sposób cała już z planam; jego zespolona i ziszczona ich pragnąca. I czuła, że teraz jest jej tu naprawdę dobrze...

Turkusowa opona niebios, po której płynęły drobne, zapłonione chmurki, obejmowała ich, jak cudny, różomj zatrzęsiony namiot; pasemka babiego lata fruwały nad ich głowami, a miasteczko wdzięczne jasną pstrociną dworków i zielenią ogródków otwierało się przed nimi coraz bliżej, niby przystań cicha.

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

Nowela.

Przerwana idylla.

7

Uplętnęło jednak kilka dni, a Piotr nie wspominał proboszczowi o swoich zamiarach. Nawet można było zauważyć, że od rozmowy z ojcem, unikał księdza umyślnie, jakgdyby się bał, że proboszcz pierwszy zacznie o tem mówić. Natomiast w jego oczach miłość gorzała, jak pochodnia—i on sam upadał pod jej brzemieniem. Będę sam na sam z Hanią—obejmował ją ramieniem, przyciskał do serca i zdławionym, brzemieniem łzami głosem mówił jej o swojej miłości. Było to uczucie potężne, jak śmierć, chwytające go za gardło szpazmem boleści, na każdą myśl o niej. Kochał ją, lecz bał się przed samym sobą przyznać do tej potęgi, którą chwycił w kleszcze swojej słodkiej, chwilami czarującej bezwzględności, pod której ciężarem ślaniał się, jak odurzony. Dlaczegoż jednak nie szedł za radą ojca?...

Znając proboszcza, wiedział dobrze, że stary Morawski mówi prawdę. Pocziwy księżyna, widząc ich nieraz siedzących razem, zapatrzonych w siebie, jakgdyby w śnie napół męczącym, napół lśniącym rozkoszą bez granic, mówił żarciki, których znaczenie wyraźnie uprawomocniało ich wzajemne uczucie. Tymczasem oboje milczeli przed nim i Morawskim, unikając umyślnie rozmów o małżeństwie, ślubie i weselu. Morawski, nie rozumiejąc całej tej „polityki”, gryzł się, nie mogąc się odważyć na proste i stanowcze zapytanie syna. Podejrzewał, że Piotr, straciwszy posadę (o trzymiesięcznym urlopie, zaczął już powątpiewać), obawia się o przyszłość swojej żony. Hania była bowiem równie, jak on, biedna — i jak on, nie mogła się zbyt spodziwać wyjątkowej poprawy losu. Właśnie w tym czasie

zbliżały się imienniny proboszcza i, według umowy, czyli spisku, na dziewięć i kawalerstwo Piotra, miały służyć za asumpt do wytworzenia zaręczyn. Piotr nie o tem nie wiedział, Hania również. Natomiast Morawski oczekiwał tego dnia z wielkiem upragnieniem. W tym czasie właśnie oboje zauważyli, że między młodymi miłość spotężniała jeszcze bardziej. Stara Skowronkowa w wielkiej tajemnicy dzień w dzień opowiadała proboszczowi, że Hania po nocach nie sypia, lecz płacze i to szloch tak głośno, że ona sama się budzi, myśląc, że się jakieś nieszczście stało. Księżyna wielce się zaniepokoił, tymbardziej, że własnymi oczyma mógł stwierdzić wielką zmianę, jaka zaszła w dziewczynie. Hania z dnia na dzień mizerniała i bladła, wpadając w zastraszającą melancholię. Nie mając Piotra przy sobie, siadywała długie godziny bez ruchu, suchym, napół martwym wzrokiem patrząc bez przerwy w jeden i ten sam punkt. Dlatego, tembardziej pragnął raz już skończyć z tem wszystkiem i wydać dziewczynę za Piotra. Trwały więc przygotowania do imiennin, a raczej zaręczyn, a stary Morawski w cichość zacięwał ręce, mając przekonanie, że dzień ten, oddawna upragniony, będzie dla niego dniem ziszczenia marzeń.

W takim właśnie nastroju, jak zwykle sam, gdyż Piotr i Hania zniknęli gdzieś na spacerze, szedł dróżką połą do lasu. Dzień był śliczny, prawie gorący. W powietrzu unosiły się długie pasma babiego lata, czepiając się gałęzi i czerwonych liści. Morawski, podpierając się kijem, zapuszczał się coraz dalej w głąb lasu, myśląc z rozkoszą o tym niedalekim dniu, kiedy błogosławieństwo proboszcza połączy ich na zawsze, a jego z nimi — do śmierci. Wtedy zamieszkają razem. Starzec aż przystanął ze wzruszenia na myśl o tych przedziwnych chwilach, o tych uroczych godzinach — życia we troje, a może — we czworo! Bo bezwątpienia będą mieli dzieci (ten gałgan się o to postara) — myślał o Piotrze z rozrzedzeniem — a wówczas on — dziadek, będzie nosił na kolanach małego Piotrusia — i wołał:

— Jedzie pan po obiedzie, sługa za nim ze śniadaniem. Patataj, patataj!

W uszach starca zadźwięczał śmiech dziecka, radosny, wesoly śmiech bez troski, aż podniósł oczy ku jasnemu niebu, każdym drgnięciem swego serca dziękując w modlitwie dziękczynnej za ową radość oczekiwaną — a tak blizką!

— Będę szczęśliwy, jak w raju — wyszeptał. — Skończy się moja samotność i męka tęsknoty do ludzkiego życia.

Rozpłomieniony cichą, głębką, odorującą, jak dym, radością —

szedł dalej, mijając stare drzewa, lśniące czerwienią kory, karłowate sosny, deptając po wielkich wachlarzach paproci, nie widząc nic, prócz rozkosznego obrazu własnych tęsknot przed oczyma. Nagle przystanął. Zdawało mu się, że słyszy jakieś głosy z poza grobu splątanych drzew i zaczął nadłuchiwać. Były to głosy Piotra i Hani. Stary uśmiechnął się. Cicho skradając się, podszedł bliżej, mając zamiar podpatrzyć niewinną scenę ich miłości, a potem niby to narobić wielkiego gwałtu, postraszyć proboszczem, a jeszcze potem wspaniałomyślnie przebaczyć! Wcisnął się więc ukradkiem między dwa pnie — i, odchylając nieco wieniec liści, spojrzął. Inagle uśmiech lśniący na jego twarzy zgasł, jak zdmuchnięta świeca. Hania płakała. Morawski z przerażeniem patrzył na jej dziecięcą, śliczną twarz, objętą obłokiem rozpacz, na oczy, pełne łez, patrzące na Piotra z lękiem i boleścią bez granic.

— I co ja teraz zrobię? — szepotała, wyciągając ręce do Piotra, który stał, oparty o drzewo, i patrzył posępnie w przestrzeń. — Bo gdyby się wuj dowiedział!

— Nie dowie się, bądź spokojna. — Ale, co ja teraz zrobię? — powtórzyła, załamując przed chwilą wyciągnięte ręce. — Dlaczego nie chcesz się ze mną ożenić?

— Tego nie powiedziałem, — rzekł wahająco Piotr, — ale jest jeszcze czas...

— Niema, niema czasu! — zawołała nagle z rozpaczą, wybuchając nową falą serdecznego płaczu. — Jestem zgubiona! Boże mój, Boże kochany! Ja się zabiję!

Nagle Morawski cofnął się z gąszcza i powiódł dłonią po czole. Był błądy, jak trup! Rozumiał wszystko, rozumiał płacz Hani, jej zły wygląd i cichą rozpacz, widzianą w oczach. Straszny gniew i żal na Piotra chwycił go za gardło, jak dłoń i stłumił krzyk oburzenia. Stary w pierwszej chwili chciał rozerwać splątane gałęzie, wpaść na środek polany i wołać: „Łotrze!... Łotrze, po trzykroć łotrze!...“ Wrócił jednak do domu oszołomiony, przynięciony boleścią straszliwego zawodu, i padł na fotel, czując, że stało się coś strasznego, że w tej jednej chwili chwije się gmach jego urojonego szczęścia.

— I co teraz? — pomyślał.

— Teraz musi się ożenić już napewno! — odpowiedział mu jakiś tajemniczy szepot wewnątrz serca. — A gdyby nie chciał?... Nie chciał?... Morawski sam przeraził się tej myśli fatalnej. Przecież nie może nie cieciec. Boże święty!

Drżącymi rękoma przetaił czoło, zroszone zimnym potem przerażenia, i wstał. Rzucił się do ogródka i chodził w milczeniu do późnego wieczora. Tegoż dnia, na kolacyi,

nie odezwał się słowem. Czekał z upragnieniem i trwogą imiennin proboszcza.

Nareszcie nadszedł ten dzień. Cała wieś była na nogach. Słły gromady chłopów z powinszowaniami, błogosławiąc proboszcza, którego kochano powszechnie, śliniąc jego rękę w pocałunkach, pełnych pokory i życzliwości. Wreszcie wszystko się uciszyło. Skowronkowa, odświętnie ubrana, nakryła do śniadania. Po wszelkich powinszowaniach i skromnych podarkach, wszyscy usiedli do stołu i zaczęli jeść. Była to chwila dla Morawskiego straszna. Spojrzął na syna; pobladła twarz Piotra była szara, oczy mętne. Wtedy zrozumiał, że Piotr wie o wszystkim, że się spodziewał toasty proboszcza i obawia się go najwidoczniej. A właśnie w tej chwili proboszcz, utkwivszy w nich swoje dobroduszne, śmiejące oczy, zaczął mówić:

— Moje drogie dzieci! — Bogu najwyższemu niech będą dzięki za Jego dobroć i miłosierdzie. Dzisiejszy dzień, tak piękny dla mnie, uczynił jeszcze piękniejszym przez łaskę jaką zesłał na was. Wiem, że serca wasze gorzeją wielkiem, czystem uczuciem, które Wszechmocny zesłał na ludzi i przez usta Syna Swego powiedział: „Żyćcie i rozmnażajcie się“ — dlatego ja, wierny i mały Jego sługa nie będę stał na przeszkodzie waszego związku — i jutro, w świętą niedzielę, ogłoszę z ambony pierwszą waszą zapowiedź!

Skończył, uśmiechnął się i podniósł kieliszek do góry. I w tej chwili zdumiał. Ręka zawisa w powietrzu, a w oczach proboszcza załśnił lęk.

Piotr milczał. Nie patrząc na nikogo, siedział nieruchomy, błądy śmiertelnie, bębniąc apatycznie palcami po stole.

— Piotrusi! — jęknął Morawski drżącymi wargami. W tej chwili padł pierwszy, przejmujący, szarpący sercem szloch Hani, a proboszcz postawił niewypity kieliszek wina i przenosił to na niego, to na nią wzrok przerażony, objęty boleścią.

— Jakto, nie chcesz? — wyszeptał po chwili.

Nagle Morawski, mając przed oczyma scenę w lesie, a słysząc cichy płacz Hani, wstał i rzekł głosem twardym, ostrym, bezwzględny:

— Piotr!... Ja ci rozkazuję!

Wówczas Piotr podniósł się z krzesła i, nie patrząc na nikogo, wyszeptał cichym głosem:

— Ja rozumiem — i, naturalnie, sam pragnąłbym tego całą duszą. Ja ja kocham, przysięgam! Ale...

— Ale, co? — krzyknął Morawski, przesywając go wzrokiem.

— Ale nie mogę... — wykrztusił Piotr.

Zaległo ponure, czarne milczenie.

Hania płakała cicho, tłumiąc krzyk rozpaczy, wydzierający się z serca, a proboszcz, pobladły, rzucił pytanie, nie odrywając oczu od jego zmieszanej twarzy.

— Mój Piotrze, powiedz, dlaczego?

Milczał.

— Powiedz! — powtórzył rozkazująco Morawski. — Ja, twój ojciec, pytam się o to — chcę wiedzieć.

— Bo już jestem... żonaty! — zawołał nagle Piotr — i pobladł jeszcze bardziej.

Z piersi dziewczyny wydarł się ostry, przesywający krzyk rozpaczy: „Trusia!” — i odbił się krwawym echem w sercu Morawskiego. Teraz dopiero zrozumiał wszystko. Słowa dziewczyny zatamowały mu oddech, rzuciły krwawe fale do twarzy. W pierwszej chwili zdawało się, że stary Morawski nie przeżyje tej wiadomości, tego strasznego bankructwa swoich tęsknot i złudzeń.

Więc „Trusia” — to Piotr! — przebiegło mu przez myśl. Słowo fatalne załśniło błyskawicą i zgasło, zostawiając za sobą ponurą ciemność.

Stary opadł na krzesło i zakrył twarz dłońmi — i siedział tak przez długą chwilę, powtarzając drżącymi wargami:

— Więc to on, Piotr! Piotr tym szubrawcem, który grał w karty dla kochanki, który się ożenił z nią — mimo to, że miała innego. A teraz przyjechał — i skorzystał z łatwości dziewczyny. Czyż to możliwe? A jednak, tak jest! Piotr, jego syn, jego duma i nadzieja, Piotr, za którego uczciwość i prawość dałby w zakład życie swoje — ten jedyny, ukochany chłopiec — szubrawcem!

Nagle wstał, wyprostował się, jak na paradzie wojskowej.

— Piotr! — krzyknął i drgnął, wodząc mętnym wzrokiem po obecnych. — Gdzie on jest?

— Wyszedł — wyszeptał proboszcz..

Morawski rzucił się do drzwi — i, nie zatrzymawszy się, szedł mocnym krokiem ku domowi. W pokój zastał Piotra, pośpiesznie, gorączkowo, jak w ucieczce, pakującego swoje rzeczy do walizki. Był błąd śmiertelnie. Drżącymi rękoma rzucał ubranie, kołnierzyki, nie patrząc, nie widząc nic. Na wejście ojca nie zwrócił nawet uwagi — i, odwrócony tyłem do drzwi, nie drgnął, kiedy rozległy się ciężkie kroki Morawskiego na werandzie. Starzec stał przy drzwiach i patrzył na przygotowania syna. Oczyma, szaremi od łez, śledził z rozpaczą każdy ruch Piotra, ślaniając się w męce strasznego faktu, który miał przed oczyma. Oto odjeżdża — Piotr opuszcza go. I dokąd? kiedy wróci? Och, Boże mój, Boże!

A Piotr rzekł nagle, jakgdyby odpowiadając:

— Już idę... idę... Rozumiem to dobrze.

— Coś uczynił? — wymamrotał tragicznym szeptem Morawski.

— Podłość! — odpowiedział Piotr. — Związał walizę i stał przy niej, gotowy do drogi. — Uczyniłem podłość, bo zawiodłem zaufanie tej biednej dziewczyny — dodał ciszej. — Nie wiedziała, że jestem żonaty, i wierzyła. Zresztą, nikt nie wiedział — i ty, ojcz, również.

— Nie nazywaj mnie ojcem — szepnął starzec i oparł się o drzwi, czując mgłę przed oczyma. — Piotr! Piotr! — jak ty mogłeś!...

— Kochałem...

— Zabiłeś mnie...

— I siebie...

— I ja... A proboszcz?...

— Kochałem! — powtórzył Piotr z jękiem serca.

— Przekłeta taka miłość, która tworzy zbrodnię!

Właśnie w tej chwili od strony plebanii doleciał ostry, przerywający, jak nóż zabójcy, krzyk. Brzemienne przerazaniem oczy Morawskiego padły poprzez okno, w spojrzeniach półprzytomnych, bolesnych i pełnych rozpacz.

— Słyszysz? — wymówił zbladłymi wargami.

Tymczasem krzyk rósł, potężniał. Z chałup wybiegały baby i biegły ku kościolowi. Cała wieś wyległa na drogę — i cłhop za cłhopem, dziady, dzieci — wszyscy szli pośpiesznie ku ogródkowi księdza, aż buchnął lament, jak płomień, na stonomicjnej strzesze. Piotr się porwał i rzucił ku drzwiom, błąd, jak trup, z oczyma nieprzytomnymi, drżąc, jak w febrze przedśmiernej. I lecz przy drzwiach zatrzymał się, omdlewając z bólesci. Nogi ugięły się pod nim, a z serca wydarty krzyk rozpaczy padł w szloch i leciał, jak ranny, okrwawiony ptak ku płomiennym rzeźcom prerażonych głosów — i utonął w nich jak kamień, rzucony na dno! — I wróciło echo tych słów. Morawski, zrozumiałwszy płacz i rozpacz przy kościele stanął przed Piotrem i patrzył mu w oczy sępim, przymijającym do wnętrza wzrokiem.

— Piotrze — rzekł. — Co masz zamiar uczynić?

Piotr podniósł na niego swoje spojrzenie i wtedy źrenice związały się z sobą, jak o dwie pary rąk.

— Zapłacić — wyszeptał.

I nie patrząc na ojca, rzucił się na drogę — a potem szedł ku plebanii mocnym, pewnym krokiem.

Starzec został sam.

KONIEC.



PODŁY!...

Z okrucieństw wojny światowej.

Drobniutkim maczkiem, na misternym skrawku papieru (że to listów przewozić nie wolno!) wypracowała mozolnie epistolinę miłosną i niesie ją pod wskazany uprzejmie adres „okazy!”...

Że to ktoś dostał właśnie pozwolenie na wyjazd do Szwajcarii, czy do Szwecji, czy zgoła do Petersburga! I pocziwy, mój Boże, podejmuje się zabrać do pugilaresu gorącą tęsknotę panny Stasi i doręczyć ją do własnych rąk temu, kto na ten misternie zapisany kawałek papieru czeka z utęsknieniem już całych piętnaście miesięcy. Jeśli nie więcej nawet — — — Bo ile to już czasu upłynęło, jak „nasi” wyszli z Warszawy i wywieźli ze sobą Antosia!

Kilkakrotnie przez ten ciężki przeciąg czasu szturmowała panna Stasia Sztuttgart pociskami rozlewnej, panieńskiej tęsknoty, lecz wszystkie te *missives* serdeczne wracały z powrotem z nieublaganym, bezlitosnym dopiskiem urzędowym...

Nie przepuścili ani jednego!

I oto nareszcie może dać ujście narzmiiałym zdrojom rozteńsknienia!...

I opisać wszystko, wszystko, — i wszystkiego, wszystkiego, jeszcze raz *wszystkiego się dowiedzieć*.

A tu miejsca tak mało! Jeden maleńki skrawek na całe piętnaście miesięcy! Mój Boże...

Chciałoby się o tyle, tyle, jeszcze raz tyle zapytać!... Chciałoby się tyle, tyle, jeszcze raz i jeszcze raz tyle opowiedzieć!...

Ale panna Stasia nie jest egoistką! Nie będzie się rozwodzić o sobie. Niech on opowiada. Przecież to ją jedynie obchodzi!

Nie szczędzi więc serdecznych, rozlewnych zapytań...

...Mój złoty, drogi, kochany — co u ciebie słyhać?

...Co słyhać, najdroższy, najukochańszyszy, serdeczny mój?

...Pisz, pisz, pisz, co robisz, jak czas spędzasz, czy nie brak ci czego, czy masz towarzystwo, jedyny, drogi, matulki mój?...

...Czy bardzo, bardzo a bardzo tęsknisz za swoją Stasią, malusienki?

...Kiedy się zobaczymy, kiedy? Ty mój ty!...

...I kiedy się ta wojna skończy, nie-dobry! nie-pocziwy!... Kiedy?!...

Więcej nie miała już nic do zakomunikowania. I, zresztą, nie mogła: miejsca tak mało!... Dobrze i tak, że tyle wykrzykników, kropek i znaków zapytania zmieściła! Żeby choć doszły. Mój Boże, niechże się chłopaczysko dowie nareszcie po piętnastu miesiącach rozłąki i wyczekiwania, co u niej słyhać!...

Trzyma skrawek papieru bliżutko przy sercu i biegnie wzruszona pod wskazany adres. Nie zastaje. Za pół godziny dopiero.

Wypada przeczekać w mleczarence naprzeciwno. W sam czas przypomina sobie, że od rana nie jeszcze w ustach nie miała.

Po skromnym posiłku maleńkie rzu-
cenie okiem na gazetkę. Niebardzo się
na tem, coprawda, rozumie, ale, mój Bo-
że, może tam jeszcze jaka wojna, może
ze dwie, trzy naraz, i skończy się to już
niedługo!...

Jezus Marya!... Co to?!...

W głowie jej się zamroczyło — — —

A, podły, podły, podły!!!

Nie, chyba źle czyta, to niepodobna...

Wybiega na ulicę. Czyta raz jesz-
cze, jeszcze raz, i jeszcze raz. Kupuje

drugi numer, trzeci, i czwarty — — —
Wszędzie to samo!

„Z listu prywatnego dowiadujemy się
o zawartych w Rosyi następujących
małżeństwach: pan Antoni — — —“.

A, podły, podły, podły!!!

Wraca do swego pokoiku, rzuca się
na poduszki i płacze, płacze, aż niesie
po schodach — — —

Gniew naprzemian z żałością wstrzą-
sa nią okrutnie. Dobrą godzinę uspo-
koić się nie może. Zrywa się raz po raz,

mnie gazetkę, rzuca o podłogę jeden nu-
mer, drugi, trzeci i czwarty...

Podły, podły, podły!!!

Okolo południa uspokaja się nieco.
Biegnie do lusterka, spogląda na zegarek.

— Ojej, spóźnię się.

Poprawiła włosów, przypudrowała
się, pędzi do Parku.

— Ty... ty... nie będziesz taki po-
dły?... — rzuca się czekającemu mło-
dzieńcowi na szyję...

B. Gorceyński.

LEON CHOROMAŃSKI.

Filemon i Baucis.

2

— Jużem znalazła wieczność całą,
Gdy serce moje pokochało —
Gdy pokochało Filemona —
Odpowie Baucis. — W głębi łona
Znicz nieśmiertelny mi się pali,
Filemon wzywa mnie z oddali —
W krzyku piorunów, w ranka ciszy
Filemon serce moje słyszy.

W noc czarną odpetł od niej wąż,
Kląt, żółtą pianą rzygał wciąż,
Przez krzywe zęby kłatwy pluł,
Aż się w piekielny stoczył dół!
A Baucis, słodko uśmiechniona,
Ujrzała swego Filemona
Żeglarza, co powracał rad,
Niosąc konwalii biały kwiat!

Wieszcz znakomity w całym kraju
Przyszędł do Baucis, jak do raj, —
Uzdrowić serce poranione
I taką śpiewał jej canzonę:

Jak morze wyje, krzyczy burza,
Jak się z otchłani kwiat wynurza,
Jak biją serca, szumią drzewa,
Lira ci dźwięczna ma wyśpiewa!

Ach, wszystkie drogi przemierzyłem,
Ze wszystkich źródeł wodę piłem,
Tęskniłem noce i wieczory,
Od tęsknot jestem człowiek chory...
Gdzie tylko serce bije czyste,
Gdziem oko ujrzał promieniste,
Spieszyłem gasić swe pragnienie,
Chciałem pokochać nieskończenie...
Szukałem wszędzie! Próżne znoje:
Pragną się bawić i żartować,
Ale nie umie nikt miłować:
To umie tylko serce twoje!

— Przedziwnieś śpiewał — rzecze ona:
Śpiewała dusza Filemona:
To jego radość, jego tży...
Dziękuję, cudzoziemcze, ci...

I odszedł pieśniarz zawstydzony
I nie powrócił w owe strony...

Za dniami płyną noc i dzień,
Aż padł na Baucis szary cień...
Poznała Baucis: już nie może
W dni nadchodzących patrzeć zorzę!

Od przerażenia lica zbladły,
I ręce Baucis w dół opadły!
Ujrzała, że te wszystkie drogi,
Gdzie niegdyś kroczył zastęp mnogi
Królów, poetów, wężów — do niej,
Której przed nimi wierność broni,
Puste, zarosły głączą trawą,
Mgłą zaszyły — niby oko łzawą
Pomroka — oni się rozwiali
(Któż serce Baucis dziś ocali?)
Co było dobrem, pięknem, złem,
Stało się marą, stało snem!
I Baucis szepcze: „Cóż ja wiem“?
Serce się Baucis w chmurach skryło,
Serce się w ciemność potoczyło,
Ujrzała życia ostateczność!
Wtem — niby z gwiazdy błysła wieczność
Z oka czujnego Filemona...
Jak Bóg łagodny, patrzył na nią,
Na dni swych młodych jasną panią, —
Dni już przeżytych, przeminionych —
Patrzył promiennie — bez łez słonych...

— Dzięki ci, dzięki, Filemonie!
Niech znów cię ujrzę w tamtej stronie,
Kędyś powracał z żeglowania,
W poranek cichy — wśród świtania,
Kiedy ptaszęta swiergotały
I kiedy włos twój nie był biały...

Niech zajdę znów w uliczkę ciemną,
Gdzie ty stanąłeś raz przede mną...
Ach, pomnę — właśnie w owej chwili
Oddałeś serce drżące mnie,
Jak ptaka, co w drzewinie kwili...
Dzień ten nie minął jeszcze... nie...
Dzień ten nie minie: wieczność całą
Mam, odkąd serce pokochało! —

Najwyższe prawo.

4

Dora przebiegła koło ojca, który nie rzekłszy ani słowa, zawrócił i wyszedł do swego pokoju i w kilku skokach była na dole. Ukłękła przy Hamakhanie i dźwignęła go obu rękoma. O! Boże! jakże bezwładnie opadła ta cudna głowa na ramię; jak martwe zwisło to najdroższe ciało.

Och! jak namiętnie kochała go w tej chwili; jak bezgranicznie drogim był jej w tej chwili, gdy podniósłszy go, błada jak płótno wyprostowała mu rękę i zaczęła ją obmacywać. Bogu dzięki ręka nie była złamana. Rozchyliła tunikę na piersiach i położyła mu rękę na sercu. Biło; był ogłuszony tylko.

W górze zatrzeszczały schody. Podniosła głowę i spojrzała z nieopisaną trwogą i męką w swych tak zwykle słonecznych oczach. Ojciec jej i dwóch krajowych służących stali na górze.

— Weźcie tego człowieka i zanieście go do jego domu — rzekł generał, a krajowcy zeszli w milczeniu.

Dora nie stawiała im oporu. Patrzyła jak dźwignęli bezwładną postać i wynieśli ją bez jednego słowa. Tak było lepiej; niech go zabiorą stąd, z przed oczu jej rozwścieczonego ojca.

— Doro, pójdz tutaj.

Poszła na górę w odpowiedzi na wezwanie ojca. Wszystka krew burzyła się w jej żyłach na postępek generała i niepokój o ukochanego szarpał jej sercem, ale na pozór była spokojną i twarz jej miała coś kamiennego w swej bladej i chłodzie, gdy weszła napowrót do swego pokoju.

Generał stał pośrodku.

— A teraz bądź łaskawą powiedzieć mi, co ten człowiek robił tu o tej godzinie?

— Przyszedł powiedzieć mi, że wraca dziś do Peshawuru i pożegnać się — odparła Dora chłodnym, twardym głosem.

— Czy jest to twoim zwyczajem przyjmować twoich krajowych służących o północy w sypialni, żeby się z nimi żegnać? — zapytał generał z grzecznym sarkazmem.

Dora poruszyła się niecierpliwie; wyraz jeszcze głębszej pogardy okolił jej usta.

— Służących! Ojciec zna tych górali; oni naprawdę nikomu służyć nie będą. Przychodzą i odchodzą, jak im się podoba. Ten człowiek nie zrobił nic złego. Jeżeli jest w tem

jakakolwiek wina, to moja. Kazałam mu usiąść i powiedzieć mi dlaczego chce odejść. Zatrzymałam go.

— Co za brednie. Łotr dobrze wiedział, że nie powinien przychodzić do twego pokoju i że go przepędzę, jeśli go tu znajdzie. Żałuję, że go nie zabił, tego zuchwałego gałgana.

Stalowy blask zapalił się w błękitnych oczach Dory; pobladła jeszcze bardziej. Nie rzekła nic; ale jej drobne, białe ręce ścisnęły kurczowo poręcz krzesła, na którym usiadła.

— Nie — mówił dalej generał, chodząc po pokoju — potrafię ukarać niepodległość tego łajdaka. Jutro wypędzę na cztery wiatry i niech się tylko ośmieli pokazać.

Nastąpiło milczenie. Widocznym było, że Dora zbiera wszystkie swoje władze na jakiś najwyższy wysiłek.

— Za niespełna rok — zaczęła wreszcie — skończę dwadzieścia jeden lat i wejdę w posiadanie czterech tysięcy funtów dochodu. Będę wolną, niezależną, będę mogła robić, co mi się podoba, nieprawdaż? Jeżeli więc teraz, ojcze drogi, poproszę cię, byś zezwolił na moje małżeństwo z tym człowiekiem, byś mi dopomógł, osłonił mnie powagą twego rodzicielskiego słowa przez ten rok dzielący mnie od pełnoletności, co mi na to odpowiesz?

Generał zatrzymał się na środku pokoju; chwilę wpatrywał się z osłupieniem, jakby nie pojmując jej słów.

— Zezwolić na małżeństwo? — wybełkotał wreszcie. — Ty — ty, chcesz poślubić tego... tego... *krajowca*?

W całym swym słowniku zniechęcenia nie umiał znaleźć obelżywszej nazwy. Usiadł ciężko na krześle, blade, z wytrzeszczonymi oczyma.

Dora zsunęła się na ziemię i w namiętnem uniesieniu, pragnąc zjednać ojca dla swojej sprawy, ukłękła przed nim, oplatając rękoma jego kolaną.

— Tak, ojcze drogi; to krajowiec; ale to jest ta jedna rzecz, która mówię przeciwko niemu. Jest biedny; cóż to jednak szkodzi, skoro ja mam tak wiele. Ojcze! posłuchaj mnie. Żaden z tych mężczyzn, których dotychczas poznałam, obracając się pośród anglików, nie podobał mi się. A tego człowieka ja kocham.

Będę z nim zupełnie szczęśliwą. Pozwól nam jechać do Anglii. Hamakhan dla mojej miłości przyjmie angielskie pojęcia i zwyczaje. Możemy się pobrać podług angielskich praw. Cóż w tem może być złego? Coby to komu szkodziło?

— Oszalałaś. Doro — odparł generał szorstko. — Co za wstrętny potworny, niemoralny pomysł!

— Niemoralny? Czy dlatego, że różnimy się kolorem skóry? — rzekła Dora, i pogarda, którą umiesienie porwało, wypiętnowała się znów na jej twarzy.

— Zastanów się, dziewczyno! Czyż ty nie masz żadnej dumy rasowej? żadnej godności osobistej? — bąkał generał.

— Pogardzam ludźmi mojej rasy! — zawołała Dora namiętnie. — Kimże oni są? Gromadą polujących, grających w karty, pałających, pijących i klnących głupców; idiotycznych w rozmowie; wstrętnych dla oczu, samolubnych i nudnych w pożyciu. Nigdy za żadnego z nich nie pójdę. Hamakhan jest piękny i inteligentny, uczy się łatwo i szybko. Zresztą podoba mi się. Wiesz ojcze, że pod wieloma względami jestem wyjątkową i tylko wyjątkowe życie może być moim ideałem. Pozwól mi zabrać go do Anglii i tam poślubić.

— To niemożliwe, powtarzam. Pomyśl tylko? Wszyscy odwróciliby się plecami od ciebie. Nie przyjeżdżoby cię w żadnym domu.

— Na szczęście życie nie kończy się na angielskim salonie i ludziach, których się tam spotyka — rzekła po chwili. — Są setki miast i krajów, gdzie można żyć. Cały świat będzie stał przed nami otworem. Możemy podróżować; możemy używać życia tysiącem sposobów, nie potrzebując cudzej pomocy.

— Jakto? Odepchnięta przez własne społeczeństwo? Ty byś to zniósła?

— Nie wierzę w to! — odparła Dora burzliwie. — Nie byłoby mowy o odepchnięciu. Czy ojcze myśli, że gdybym pojechała do kraju z moim stanowiskiem i majątkiem i otworzyła dom w Park Lane, to nie miałabym tylu gości, ilu bym tylko zapragnęła i więcej jeszcze, bez względu na to, czybym była żoną indyjanina, lub nie? O! mój Boże! Ludzie zawsze przyjdą tam, gdzie mogą dobrze zjeść i zabawić się. Może niektórzy nie będą chcieli znać mnie, choć nie rozumiem dobrze, z jakiej racji; lecz większość nie pójdzie za ich przykładem.

— Nie znasz tych ludzi; ich okrucieństwa, ich straszliwych występów.

— W każdym razie nie podlegają przynajmniej występki pijactwa; ani nie spędzają wolnego czasu na dręczeniu i mordowaniu biednych zwierząt jedynie dla sportu, jak to czynią moi cywilizowani rodacy! — odrzekła Dora gorąco.

— Wielożeństwo tkw; w ich naturze. Ten człowiek zaniedbałby się po kilku tygodniach.

Dora zaśmiała się urągliwie.

— Dlaczego chciałby mnie zaniedbać? — rzekła dumnie, wstając i nieświadomie zdradzając się, jak bardzo liczyła na swoją młodość i piękność. — Białą żonę, która może mu dać wszystko w życiu. Oczywiście, jest to pewne ryzyko, ale nie większe, niż w każdym innym małżeństwie. Ileż to jest szczęśliwych małżeństw w Anglii? Iluż angiłów mając żony utrzymuje kochanki? Ileż się trafia rozwodów?

Generał siedział czas jakiś w milczeniu. Wszystko to wydawało mu się jakimś potwornym snem. Czuł, że nie podola tej walce na słowa. Nie znajdował argumentów. Mózg angiłka nie jest podatnym do argumentowania; rzadko kiedy umie on wytłumaczyć logicznie swoje czyny. I nawet nie kusi się o to; poprostu dosiada dzikiego konia przesądów i pędzi na nim po wszystkim i po wszystkich.

Dora, wprowadzoną w błąd tym pozornym spokojem ojca, doznała porywu radosnej nadziei, że zdołała go przekonać. Rozpromieniona, uśmiechnięta, rzuciła się znowu do jego kolan, obejmując pieczołtliwie jego szyję.

— Ojcuzku! najdroższy ojcuzku; powiedz, że się nie będziesz sprzeciwiał i uczynisz mnie tak szczęśliwą! Przrzekam ci, że wszystko odbędzie się po cichu, bez żadnego skandalu i plotek. Hama i ja możemy pojechać do Anglii oddzielnie, tam się pobierzemy, a ojcuzek zobaczy, że i towarzysko wszystko się jaknajlepiej ułoży. Już ja się o to postaram, przez wzgląd na ciebie, ojcuzku kochany, bo sama nie dbam o te rzeczy. I będę taką szczęśliwą; taką ci wdzięczną zawsze. A jeżeli nie znajdę szczęścia, jeżeli przekonam się, że się omyliłam, będę pamiętała zawsze, że to stało się wyłącznie z mojej winy. Och! ojcuzku; powiedz, że mogę go kochać i zostać uczciwie jego żoną.

Generał jakby ocknąwszy się z odrętwienia odrzucił Dorę od siebie. To nagłe przzerwycenie się jej z chłodu w uniesienie wyrwało i jego z apatyji.

— Nie! nie! po tysiąc razy nie! — krzyknął tak grzmiącym głosem, że jego krajowy posługacz, sypia-

cy na macie przed drzwiami sypialni generała, znajdującej się na drugim końcu domu, obudził się i siadłszy na posłaniu, zaczął dygotać ze strachu. — Sama nie wiesz, co pleciesz! Pozwolić na małżeństwo z tym... z tym paryasem? Przenigdy! Jutro wypędzam go na cztery wiatry. A niech mi się jeszcze raz nawinie na oczy, zabiję go! Rozumiesz?

Stał chwilę, mierząc Dorę roziskrzonymi oczyma z twarzą aż czarną od uderzenia krwi do głowy, ze wzdętym na czołe żyłami, poczem odwrócił się i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

Nazajutrz o dziewiątej z rana ojciec i córka zasiedli razem do śniadania i nikt z zachowania się ich nie byłby odgadł, jaka burza przebiegała pomiędzy nimi. Dora była bladą, milczącą i trochę sztywniejszą, niż zazwyczaj, ale to było wszystko. Generał, objawiający stanowczo i jasno swoją wolę, był pewny, że Dora musi się z nią pogodzić, i że na tem się cała rzecz skończyła. Ze egzaltowaną dziewczyną mogła powziąć przelotną słabość dla takiego człowieka, to jeszcze jako-tako mieściło mu się w głowie; ale ani na chwilę nie przypuścił nawet, by dobrowolnie poświęciła dla niego wszystko i poszła z nim na trudy, niebezpieczeństwa i największą nędzę. To też po milczącym śniadaniu wsiadł do powozu i pojechał do miasta, jak zwykle, zostawiając Dorze swobodną, całodzienną prawie samotność bez żadnej obawy. Wiedział, że tego wieczora ma być wielki bał w kolonii, i że, Dora, aczkolwiek mało towarzyska, lubi namiętnie tańczyć, sądził więc, iż przygotowania toalety i tem podobne kobiece zajęcia wypłoszą jej do reszty niepotrzebne myśli z głowy.

Gdy tylko powóz zniknął w czerwonej kurzwie gościńca, Dora pobiegła na górę a stamtąd przez łazienkę i garderobę, wewnątrz, krętym schodkami wydołała się na werandę i na zalane słońcem tylne podwórze. Z gołą głową pobiegła do ostatniej lepianki, i odsunąwszy plecioną zastonę, znalazła się w ciemnym wnętrzu. Hamakhan leżał na tapczanie, ale oczy miał otwarte. Ujrzawszy ją, uśmiechnął się i wyciągnął do niej prawą rękę.

Dora rzuciła się na kolana przy posłaniu i kryjąc twarz na piersiach ukochanego, wybuchnęła płaczem. Na szczęście, Hamakhan nie odniósł żadnego wewnętrznego uszkodzenia i miał wszystkie członki całe; tylko pomiędzy brwiami wzdymała się zasinioną nabrzmiałość, pamiętka pięści generała.

Dalszy ciąg nastąpi.

Słowo i pismo wobec prawa.

Interesujący szkic, dotyczący stosunku prawa do słowa i pisma, wydał adw. przysięgły, Henryk Cederbaum. Od czasów rzymskich i poprzez prawodawstwo francuskie wyjaśnia autor przebieżność słowa i jak zapatrywano się na obelgi popełniane w druku. Prawodawca rzymski surowy był dla oszczerców. Przewidywał obelgę w aluzji, alegorii i ironii. I najstraszniejsza kara groziła za obrazę majestatu. We Francji jednak dopiero wykształca się w zupełności prawo w stosunku do pisma. W Polsce potwarz była karana bardzo ostro. Druki były cenzurowane już za Zygmunta I przez rektora akademii krakowskiej, który od tej pory nosi tytuł dodatku „ordinarius librorum censor”. Przeważnie cenzura miała wtedy na względzie sprawy religijne. Sprawy polityczne zaczęto poddawać cenzurze za czasów Targowicy, która wymogła na Marszałkowskiej najwyższej Instancji „iżby nieograniczona wolność prasy nie mogła w Ojczyźnie naszej rzucić nasiona obyczajów zepsutych, ani rozsiewać błędów w fałszywych zdaniach, spokojności i szczęśliwości krajowych uszczerbek przynieść mocących”. Pierwszym takim cenzorem Targowicy był Jan Dodan, kanonik warszawski. Z rady tej dodaje od siebie p. Cederbaum uwagę: „Znamiennem jest, że wolność prasy polskiej skrupowali ci, którzy obawiali się głosu opinii publicznej, że po raz pierwszy skuli ją ustawodawczo zdrajcy targowiczanie, którzy dla ojczyzny okowy zgotowali” (Str. 45).

Książka p. Cederbauma jest pouczającą i ciekawą lekturą.

Zygmunt Krasiński.

Dla użytku szkolnego napisał p. J. Maciejowski charakterystykę literacką Zygmunta Krasińskiego. Jest to jednak tylko biografia poety wraz ze streszczeniami poszczególnych utworów, co zapewne wystarczy dla użytku szkolnego, ale charakterystyką literacką nazwane być nie może. Charakterystyka musi zawierać wyjaśnienie ewolucji ducha poety, staje się ujęciem odpowiedzialnym, które przez swój przyrządek wartościuje świat moralny twórcy. U p. Maciejowskiego wielka linia rozwoju duchowego twórcy „Irydiona” i „Nieboskiej” schodzi na plan ogólnikowych „idei miłości”. Cała historyozofia moralna i chrześcijańska Krasińskiego została pominięta, a przecież to jest jego dorobek niezaprzeczalny, to rzeźbi jego oblicze duchowe i przez to tylko można odtworzyć jego charakterystykę. W szkołach jednak, szczególnie początkowych, książka p. J. Maciejowskiego, jako popularny i przystępny podręcznik, może znaleźć zastosowanie.